

ogród, pełen teraz blasków, cienia i woni kwiatów, przy dużym stole, zastawionym przyborami do śniadania, siedzieli trzy osoby. Jedną z nich, kobietą już nie młodą, nieco otyłą, jasną blondynką z wyrazem dobroci na twarzy, podniosła się właśnie z krzesła i zwracając się do mężczyzny, siedzącego w niedbalej pozycji, z głową, spuszczoną na piersi, jakby go przygniatał jakiś ciężar nieznośny, spytała:

— No i jakże, panie Stanisławie, na ileż osób mam obiad szykować?

Podniósł głowę, skrzywił się, jakby mu kto na nagiętek nastąpił, ziewnął skrycie i odrzekł głosem znudzonym:

— Albo ja wiem? skądże ja mam wiedzieć? Napewno to tylko wiem, że dziś przyjeżdża o godzinie trzeciej popołudniu jakiś pan Sergij Bolesławicz Kozłowski z Petersburga, asesor kolegialny.

Siedząca naprzeciw młodzieńca, pana Stanisława, młoda panna, silna brunetka, o ognistych czarnych oczach, namiętnych, purpurowych ustach, ładna, dobrze zbudowana i zapewne nie więcej nad lat 18 licząca, uśmiechnęła się szyderczo i zapytała:

— Czy i to także krewny?

— Nie wiem, nazywa się Kozłowski.

— Ja myślę, że w Polsce Kozłowskich możnaby naliczyć dziesiątki tysięcy.

— Zapewne! — mruknął niechętnie pan Stanisław i począł błądzić oczami po ogrodzie, po rabatach kwiatów i kilku białych chmurkach, unoszących się na niebie błękitnem.

Tymczasem stojąca starsza dama z niezakłóconym spokojem zwróciła znowu swą dobrą, miłą, doleczkami przy ustach okraszona twarz i spytała:

— Więc jakże, panie Stanisławie, na ile osób mam obiad przygotować?

Pan Stanisław rozpaczliwie rozłożył szeroko ręce i zawołał z komicznym przerażeniem:

— Nie wiem, powiedziałem już pani, że nie wiem.

— Więc cóż ja zrobię?

Wdała się w to młoda panna i rzekła tonem gniewnym:

— Niech mama nie nudzi swoim obiadem, akurat też teraz są czasy, żeby myśleć o obiadach.

— Dobrze ci tak mówić, bo się niczem nie zajmujesz. Wszystko jest na mojej głowie, a jak nie będę miała co dać jeść gościom, to będzie wstyd.

— Niech pani robi, co pani chce — zawołał Stanisław — niech pani przygotowuje obiad i na sto osób!

To rzekłszy, objął rękami głowę i głosem rozpaczliwym zawołał:

— Boże, jak mnie to nudzi wszystko!

Starsza dama założyła pulchne ręce na wydatnym brzuszku i rzekła swym spokojnym, miłym głosem:

— Pan sobie żartuje, a ja doprawdy nie wiem, co robić.

— Mówię mamie, niech mama nie nudzi — wtrąciła młoda panna.

Starsza dama chciała coś rzec, ale widocznie rozmyśliła się, westchnęła żalosnie i włożywszy białe ręce w kieszonki fartuszka (w którym jej zresztą było bardzo do twarzy), wyszła z werandy.

Młodzi ludzie zostali sami. Pan Stanisław ciągle błądził oczami z wyrazem znudzenia i troski po ogrodzie, panna przyglądała mu się z boku i przez jakiś czas trwało milczenie, przepiętne szmerem tysiąca pszczoł, obsiadających stojącą w pobliżu starą ogromną lipę, obsypaną obficie kwiatem. Po ogrodzie, pełnym drzew owocowych i nieco zaniedbanym, drżał nieuchwytny szmer świeżego letniego poranka, ptaki świergotały, a słońce ciskało złote plamy na srebrną aleję, piaskiem wysypaną, od werandy w głąb sadu prowadzącą. Milczenie to przerwała panna.

— Więc to będzie duży zjazd?

— Zdaje się — odparł obojętnie pan Stanisław.

— Jakto zdaje się? przecież pan musisz wiedzieć, kto przyjedzie, znasz wszystkich swoich krewnych.

— Wcale nie.

— To dziwne.

— Niema w tem nic dziwnego. Pani przecież wiesz, że od wczesnej młodości bawiłem za granicą na studiach i z moimi krewnymi albo żadnych, albo bardzo przelotne miałem stosunki.

— Wszak każde wakacje przepędzałeś pan tu w Górze?

— Tak.

— A zatem poznałeś wtedy tego i owego ze swych kuzynów. Ja pamiętam, że często tu przyjeżdżali do pańskiego stryja.

— Stryj, jak pani wiadomo, unikał ze wszystkimi stosunków, nawet z swymi braćmi i siostrami, czemu ja się wcale nie dziwię, ludzie wogóle nie są bardzo zajmujący.

Znowu zapanowało milczenie między dwojgiem młodych ludzi, dopiero po jakimś czasie panna zapytała:

— Iluż tedy pański stryj miał braci i siostr?

— Czy to panią interesuje?

— Gdyby mnie to nie interesowało, nie pytałabym.

Westchnął i z wyrazem zabawnej rezygnacji zaczął mówić:

— Stryj miał trzech braci i tyleż siostr. Mój ojciec Andrzej Kozłowski nie żyje i zostawił mnie, jedyne go syna; po nim siedzi Zygmunt, który był



Pedasz — pytał Orczykiewicz — co tam jest nieboszczyk?

na emigracji, wrócił do kraju za amnestią w r. 1860 i podobno umarł, ożeniwszy się wprzód w Warszawie. Z kim, nie wiem, jak również nie wiem, czy miał potomstwo. Czwartym, pan Józef, gdzieś się zaprzepaścił na Litwie czy w Rosji i nie mam o nich żadnych wiadomości. Stryj Teodor, właściciel Gór, który mnie wychował, jak pani wiadomo, nie zostawił żadnego potomstwa.

— Tak pan myślisz?

— Nie tylko myślę, ale jestem pewny.

— To się okaże.

Pan Stanisław spojrział zdziwionym wzrokiem na pannę, która ciągnęła dalej:

— Ale o tem potem. A cóż się stało z siostrami pana Teodora Kozłowskiego.

— Oprócz ciotki Filomeny, która żyje i jest zamężna za kupcem panem Millerem w Warszawie, żadnej innej nie znam. Ciotka Karolina była za jakimś urzędnikiem w Warszawie... zdaje mi się, że się nazywał Jasiński, ale też nie żyje. Zostawiła podobno syna. Trzecia ciotka, Antonina, wyszła za męża do Lwowa, także urzędnika, pana Wiśniewskiego i również nie żyje. Czy zostawiła dzieci, nie wiem. Ma pani zatem cały nasz rodowód. Nieciekawo, co prawda.

— Więc wszyscy ci pańscy kuzyni w linii męskiej i żeńskiej mają tu zjechać na dzień 15 lipca?

— Taka była wola stryja Teodora, wyraźnie wypisana w kodycyli do testamentu.

— Więc zjadą?

— Czy zjadą, nie wiem. Rejent, u którego jest testament wdowy, porobił w pismach krajowych i zagranicznych obwieszczenia, wzywające wszystkich krewnych stryja, by się zjechali do Gór na 15 lipca, w celu wysłuchania woli nieboszczyka.

— Zapewne pański stryj porobił dla każdego z krewnych zapisy?

— Nie wiem.

— A panu zapisał co?

— Skądże mam wiedzieć, kiedy nie znam testamentu?

— O! to łatwo się domyśleć. Pan był jego ulubieńcem, wychowywał pana. Pewien jestem, że panu zapisał Góry.

Młody człowiek spojrział na mówiącą i rzekł po chwilowym milczeniu:

— Nie wiem, ale gdyby tak było, nie ucieszyłoby mnie to wcale. Nie mam zamiaru zakopywać się na wsi, sadzić kapustę i użerać się z chłopami.

— Ba! ziemia jest zawsze ziemią, a pieniądz pieniądzem. Możesz pan Góry sprzedać.

— Zapewne, tylko trzeba je wprzód mieć.

Panna z wdzięcznym ruchem podniosła w górę obie ręce dla poprawienia bujnych, czarnych włosów, przyczem opadły szerokie rękawy staniaka i ukazały się nagie po łokcie ręce, utoczone, jędrne i białe, jakby wykute z kararyjskiego marmuru, a pierś uwydatniła się plastycznie i rzekła z uśmiechem:

— Jak pan myślisz, panie Stanisławie, czy stryj pański zrobił jaki zapis dla mnie i dla mamy?

Pan Stanisław, który dotąd z widoczną niechęcią i widoczniejszym zmuszaniem się odpowiadał na pytania panny, nie patrzył na nią i błądził wciąż oczami po drzewach ogrodu, nagle teraz zwrócił się do niej z wyraźnym zaniepokojeniem i przez chwilę obserwował jej ładne ręce i pierś, bijącą pod czerwoną bluzką, poczem rzekł z pewnym zakłopotaniem:

— Doprawdy, panno Aniello... dziwne pytanie. Nie wiem, co na nie odpowiedzieć...

— To znaczy... że chcesz pan zapytać, z jakiego tytułu ja i mama moja możemy mieć pretensje do zapisu. Czy nie tak?

— No... skoro pani chcesz... to tak.

— Otóż ja panu odpowiem, że taki tytuł istnieje.

— Hm! szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciw temu, żeby stryj zrobił jeszcze jakiś zapis, ale tytułu prawnego w żaden sposób dopatrzeć się nie mogę.

— Nie możesz pan się dopatrzeć? teraz ja panu powiem, że to dziwne. Pana przecież wychowywał pan Teodor Kozłowski i wiesz dobrze, co się

tu w Górach działo. Pan tylko udajesz, że nie wiesz...

— Słowo pani daję, że nie wiem, o czym pani chce mówić.

— Tak? Więc pan może nie wie, że ja jestem córką pana Teodora Kozłowskiego, co prawda z nieprawego łoża...

Wyrzekła to, zarumieniła się lekko, ale swych dużych, czarnych oczu nie spuściła, owszem wyzywająco patrzyła w twarz młodzieńca. Ten był zdumiony, na jego obojętnym i znudzonym obliczu wyraziło się takie zabawne zdziwienie, że panna Aniela głośno się rozśmiała.

— I pani to mówisz, panno Aniello? — wyrzekł nakoniec Stanisław.

— A dlaczegożby nie? Pan może chciałbyś, żeby tak, jak dawniejsze panny, raczka piekła, oczki spuszczała, rączki w mały trzymała, udawała nieświadomość, gdy jest mowa o stosunkach płciowych...

— Jezus, Marya! — zawołał Stanisław, chwytając się komicznym ruchem za głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi).